Twórczość Polskich Artystów Plastyków w Kanadzie.

Katarzyna Szrodt



Andrzej Pawłowski

Twórczość polskich artystów plastyków w Kanadzie to temat złożony, mający swoją ponad siedemdziesięcioletnią historię, gdyż pierwsi artyści plastycy pojawili się w Kanadzie w wyniku wojennej tragedii, po 1939 roku. Przed przedstawieniem tego tematu na międzynarodowej konferencji naukowej: „Polacy i Diaspora Polska w Ameryce Północnej", zorganizowanej przez Muzeum Emigracji w Gdyni, chcę podzielić się z czytelnikami Culture Avenue kilkoma ogólnymi informacjami dotyczącymi

tego ważnego dla polskiej i kanadyjskiej historii sztuki rozdziału.

Trudno dziś sobie wyobrazić, jak wyglądałaby ewolucja diaspory polskiej w Kanadzie, gdyby nie została ona zasilona przez trzy kolejne fale inteligencji i artystów, przybyłe w wyniku wojny i jej politycznych następstw. To dzięki przedstawicielom polskiej elity przedwojennej: dyplomatom, naukowcom, inżynierom, artystom plastykom, pisarzom i dziennikarzom, powstały polskie instytucje naukowe i kulturalne, i nawiązała się współpraca między kanadyjskimi instytucjami nauki i kultury. Kanada nigdy nie była kolebką sztuki i zawsze byt artysty połączony był z dużym wysiłkiem i wyrzeczeniem. Jeśli los imigranta jest długą, trudną drogą w nowym społeczeństwie, w odmiennym języku i kulturze, to los imigranta – artysty jest jeszcze trudniejszy, jeśli zamierza on kontynuować twórczość poza własnym krajem. Sztuka wymaga odbiorcy, twórca potrzebuje środowiska, wymiany myśli, by rozwijać się i tworzyć. Społeczeństwo kanadyjskie, jak i diaspora polska, nie byli i nie są wdzięcznymi odbiorcami, ani nabywcami dzieł sztuki. Artyści fali wojennej, obejmującej lata 1939-1955, przecierali ślady w Kanadzie i to dzięki ich wysiłkom polska sztuka została zauważona. Z tej grupy znane są nazwiska około stu plastyków (malarzy, rzeźbiarzy, ceramików, tkaczy), legitymujących się dyplomami polskich i europejskich uczelni artystycznych, z których do najaktywniejszych trzeba zaliczyć: **Marię i Romana Schneiderów**, **Krystynę Sadowską**, **Eugeniusza Chruścickiego**, **Rafała Malczewskiego**,

Genowefę Staroń, **Henryka Hoenigana**, **Bronkę Michałowską**, **Edwarda Koniuszego**, **Stefana Kątskiego**, **Zofię i Annę Romer**.

Nigdy nie będzie polskim artystom tak łatwo i trudno zarazem – przecierali ścieżki do muzeów, galerii kanadyjskich, dekorowali wystawy sklepowe, brali udział w targach sztuki i rzemiosł, organizowali wystawy w salach parafialnych i na bazarach polskich uważając, że każda okazja jest dobra, by pozyskać polskiego i kanadyjskiego odbiorcę.



Bożena Happach, Gymnaste.

Drugą falę emigracji artystycznej do Kanady, zwaną falą PRL-owską, z emigracją 1968 roku, tworzy niewielka grupa około pięćdziesięciu twórców, z których wybili się i utrzymywali ze sztuki: **Tamara Jaworska**, **Liliana Lampert**, **Joanna Staniszkis**, **William Markiewicz**, **Kazimierz Głaz**, **Jerzy Kołacz**, **Andrzej Pawłowski**, **Zbigniew Kupczyński**, **Waldemar Smolarek**, **Witold Kuryłłowicz** i **Alfred Hałasa**.

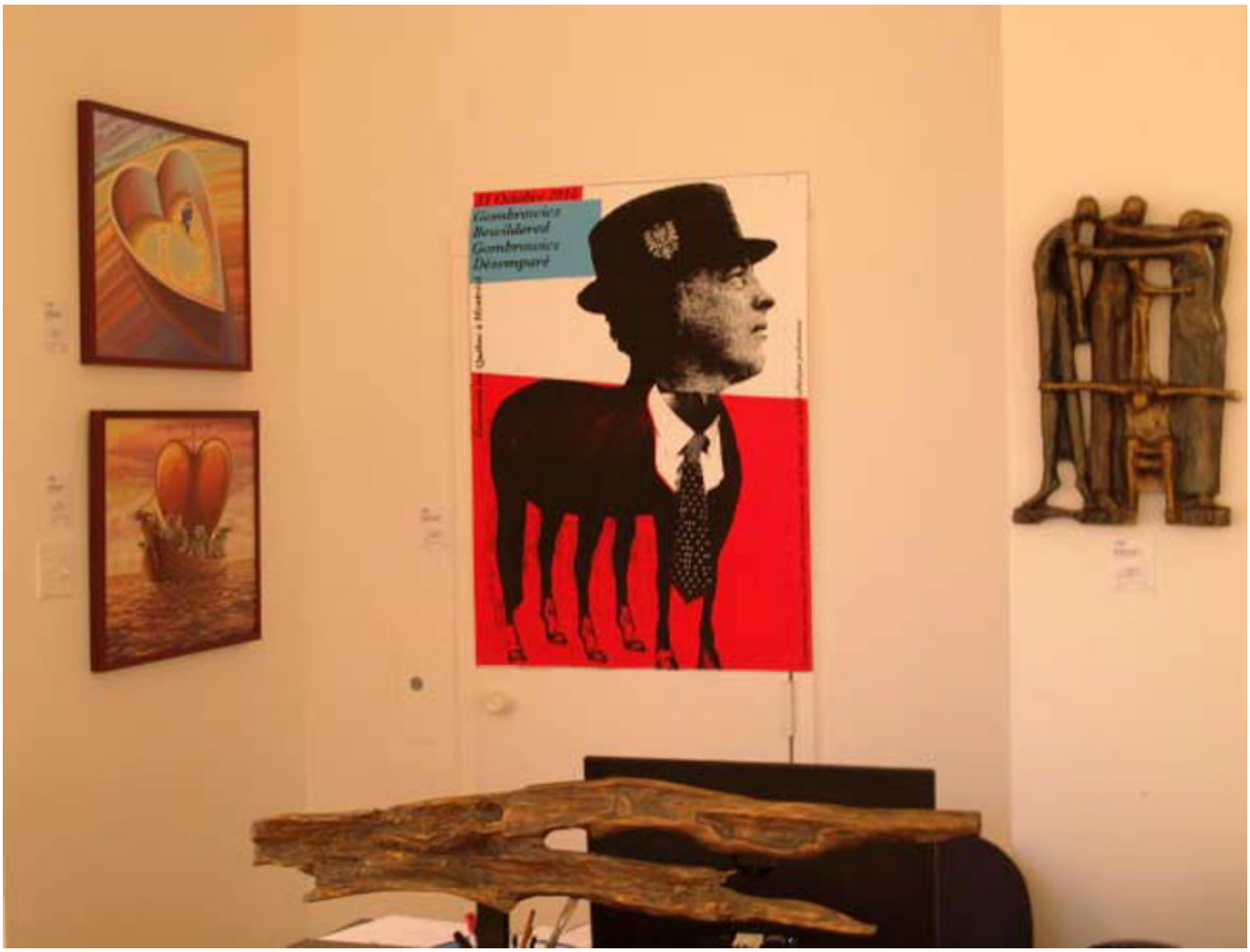


Adam Kołodziej

Lata 60. i 70. w Kanadzie to czas intensywnego rozwoju, rozrasta

się Toronto, przyciągając teraz więcej artystów niż Montreal. Rośnie zapotrzebowanie na sztukę w budujących się drapaczach chmur, instytucjach publicznych, przestrzeni miejskiej. Dzięki prospericie ekonomicznej polscy artyści mają pracę, czego ślady, w postaci rzeźb, gobelinów, murali, można odnaleźć do dziś w Toronto, Vancouver, Ottawie i Edmonton.

Dużym wstrząsem wyzwalającym zmiany w polskiej diasporze było pojawienie się w Kanadzie trzeciej fali emigracji, zwanej falą solidarnościową. Była to poważna zmiana oblicza Polonii kanadyjskiej: odmłodzenie jej, ożywienie, przefiltrowanie nowymi prądami politycznymi, społecznymi i kulturalnymi. W liczbie 130 tysięcy emigrantów znalazło się około stu artystów, z których większość osiadła w Toronto, Vancouver, Edmonton, Calgary. Liczba ta pozostaje ruchoma, gdyż wielu plastyków powróciło do demokratycznego kraju, inni znaleźli lepsze warunki w Stanach Zjednoczonych, a część krąży między starym kontynentem a Kanadą. Z dużej grupy aktywnych na kanadyjskim rynku polskich plastyków, imigrantów lat 80. Wybili się m.in.: **Ludmiła Armata**, **Regina Czapiewska**, **Jerzy Denisiuk**, **Tadusz Biernot**, **Leszek Wyczółkowski**, **Bożena Happach**, **Irena i Adam Kołodziejowie**, **Wojtek Nowakowski**, **Zbigniew Pospieszyński**, **Wiktor Zajkowski-Gad**, **Janusz Migacz**, **Jan Delikat**, **Piotr Królikowski**.



Alfred Hałasa

Działalność polskich artystów plastyków na emigracji w Kanadzie jest otwartym i ciągle toczącym się procesem twórczym. Artyści dzielnie walczą o swoje miejsce w kanadyjskiej sztuce, starając się łączyć swoją polską tożsamość z wielokulturowym melanżem, jakim jest Kanada. Jednak dla wielu możliwość pokazania swojego dorobku w ojczyźnie i konfrontacja ze sztuką w kraju – stanowią marzenie-cel-wyzwanie.

Ewa Kołacz. Impresje.

> Ewa Kołacz (Eva Kolacz) prezentuje wszechświat jako proces, a malarstwo jako nieustająco przekształcający się świat, który będąc stałym, jednocześnie się przeobraża. (John K. Grande)

Ewa Kołacz – kanadyjska poetka i malarka



Ewa Kołacz

Spacer

Każdy z nas żyje na swej bezludnej wyspie

która opływa pospiesznie życie.

Wyznaczamy na niej granice

własnymi myślami.

Wielkość tej wyspy zależy na szczęście

głównie od wyobraźni.

Obwarowani przyzwyczajeniami

jakże niechętnie udzielamy gościny

i jeśli przy kimś zapomnimy się na chwilę,

jeśli nocą nie potrafimy obyć się bez niego

tym skwapliwiej zamykamy się w sobie.

Z rana triumfy świeci nasze ego.

Wieczni uciekinierzy. Czasem uciekinierzy z wyboru

wciąż z pytaniem jak przeżyć ambitniej i mądrzej

zapominamy że istnieje zwykłe ludzkie życie.

Samotność głuszy kilka rozpoczętych książek.

Znów słowa, daruj. Tak lubię późny czerwiec

z jego poranną mgłą, z zielonym cieniem akacji

podaj rękę i chodźmy już na spacer.

Czas wakacji.



Eva Kolacz, Fantasy Island.

Jeszcze jedna noc

> Noc. Krótka, prawie bez księżyca
>
> za oknem domy z wolna gasną
>
> i tramwaj cienko śpiewa, nie mogę zasnąć.
>
>
>
> Wciąż brak mi tej pięknej umiejętności

uchodzenia myślom

więc gram z nimi w wyścigi

lecz gdy zamknę oczy

już są przy mnie

i sen się gładko toczy po prześcieradle

i ginie.

Myśli. Jedne tak ulotne, że dotknąć ich nie sposób.

Są jak motyle albo ptaki,

budzą sny po których chodzę tak lekko

jak z balonikiem w ręku dziecko.

Inne myśli najczęściej przychodzą nocą,

znają każdą ścieżkę ciała, każdą szczelinę,

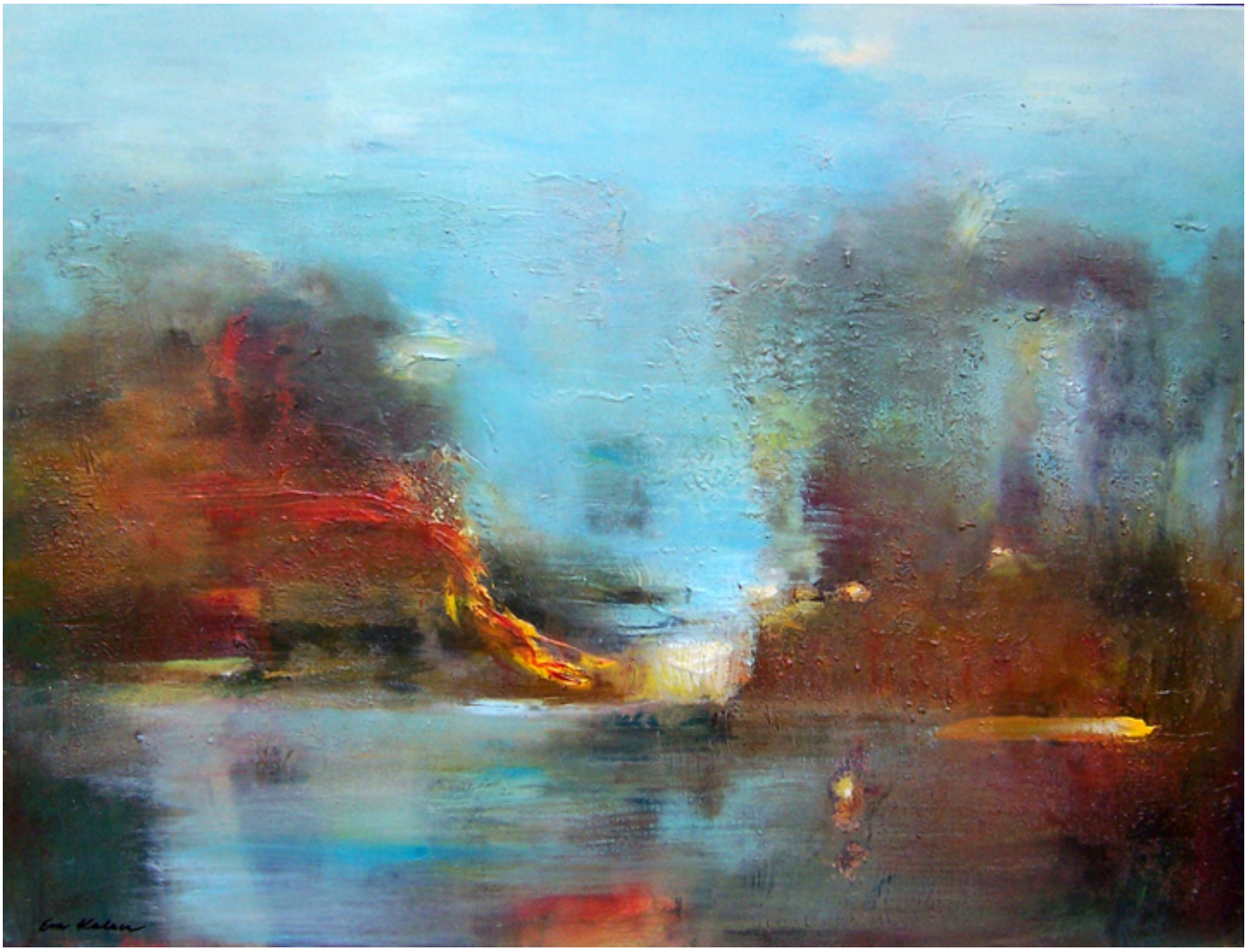
gdybym mogła, gdybym umiała pozbyć się ich

lecz żyją już swym własnym życiem

i milkną dopiero gdy świt

wchodzi do pokoju ze światłem.

Zapalam lampę.



Eva Kolacz, Peaceful – Moments.

Muza i Poeta

> Myślisz, że to ładnie kręcić jego myślą,
>
> wchodzić jak do siebie
>
> w czerwonych obcasach?
>
> Śmieją się jej usta ze zwycięstwa

czary w nim uwięzione – zachłanna kobieto.

On – zanurzony w codzienności

jak w małej uliczce z której nie ma wyjścia

uczy się teraz mieszkać we wszystkich

zakątkach świata

i z pewnością będzie o nim głośno.

Wczoraj bezosobowy i nieistotny

z pozycji podpatrującego świat,

dziś właściciel długonogiej muzy.



Eva Kolacz, Flow of Light.

Sentymentalnie

> Dopiero tutaj
>
> we mnie dziś nie ma tych chmur.
>
> I śmieję się na tyle długo
>
> by zapamiętać śmiech.

Dlaczego nie zapachem dziewanny

mam być we wrześniowym poranku

wstawionym w polski pejzaż.

Sentymentalnie oh zbyt sentymentalnie

gdy codzienność wjeżdża w internetowy wszechświat

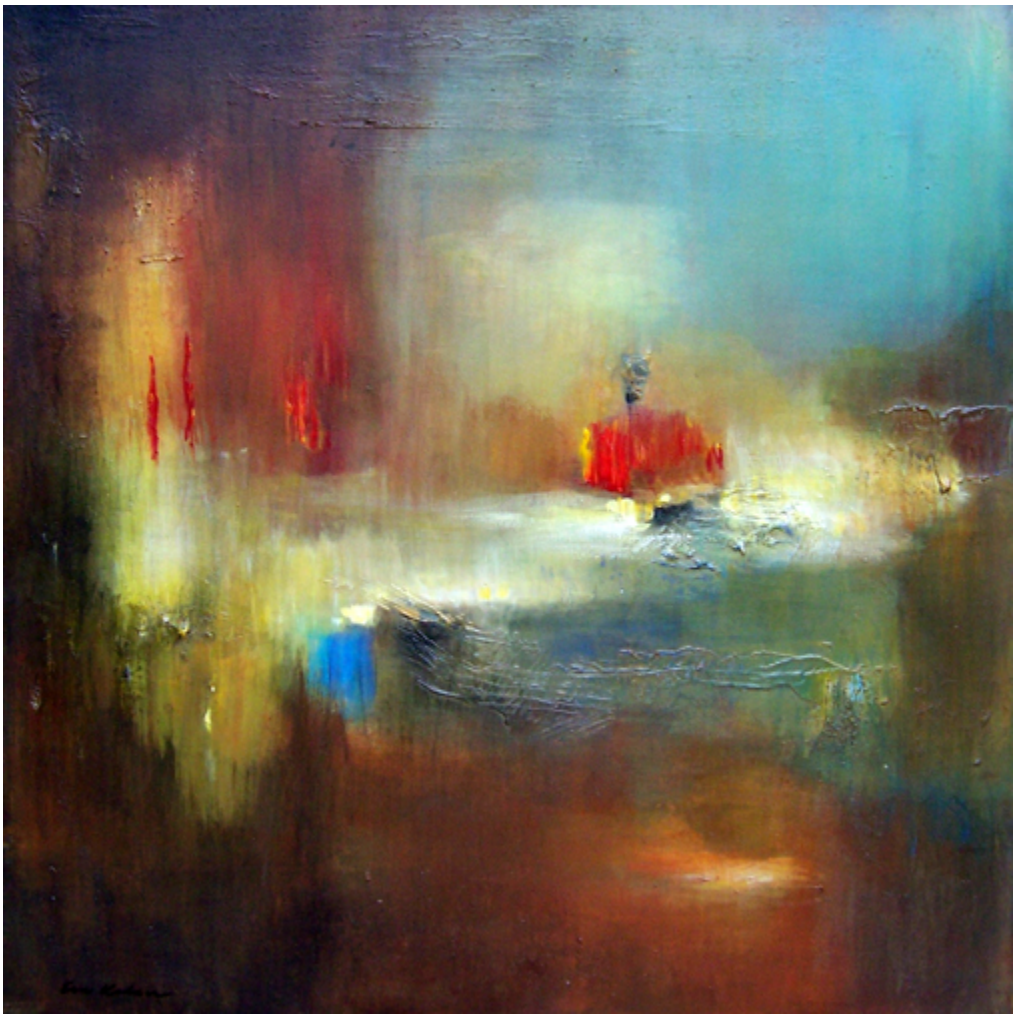
łukiem triumfalnym.

Clikclik – to my nowi władcy świata.

A mnie lepiej

tam gdzie dotyk ciepłej dłoni

i gdzie droga, która nie zna wszystkich odpowiedzi.



Eva Kolacz, Follow Thepath.

Eva Kolacz na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/ewa-kolacz-fazy-swiatla/

Metamorfozy Bashi Maryanskiej

> **Sztuka jest dla ludzi!**
>
> **Sztuka, która nie jest oglądana nie istnieje! Tylko przez osobisty kontakt widza ze sztuką, można ją odczuć i przeżyć. Przemawia wtedy do uczuć i emocji człowieka w języku pozawerbalnym. (Basha Maryanska)**



Basha Maryanska

Basha Maryanska jest artystką**,** którą fascynują różne techniki i materiały. Eksploruje wciąż nowe środki wyrazu artystycznego, odkrywa nową paletę barw, aby dojść do najgłębszych pokładów emocjonalności odbiorcy. Wielokrotnie była nagradzana za

wystawy prezentujące jej różnorodne prace – od malarstwa, poprzez tkaninę, rzeźbę instalacje, grafikę i fotografię. Zajmowała się również *performance* i sztuką przestrzenną, ukazującą ruch i człowieka w przestrzeni.

Studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku w pracowni malarstwa profesora Kazimierza Śramkiewicza (twórcy szkoły sopockiej) i w pracowni tkaniny artystycznej profesor Józefy Wnukowej. Część studiów odbyła w Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych w pracowni malarstwa profesor Krystyny Łady-Studnickiej oraz w pracowni tkaniny artystycznej profesora Wojciecha Sadleya, znanego twórcy tkaniny unikatowej i eksperymentalnej.

Już jako studentka trzeciego roku ASP w Warszawie, zdobyła nagrodę w Paryżu za tkaninę unikatową na wystawie sztuki młodych artystów. Nagrodzona tkanina została zakupiona przez szwedzką rodzinę ze Sztokholmu.

Basha Maryanska uzyskała dyplom w 1979 r. Studia podyplomowe odbyła w Paryżu na *École du Louvre*, gdzie przez rok studiowała sztukę późnego średniowiecza i renesansu. Studia i pobyt w Paryżu wywarły ogromny wpływ na artystkę. Wywodzącą się z okresu paryskiego symbolika późnego średniowiecza i kolorystyka renesansu do tej pory są obecne w jej twórczości, w daleko idącym przetworzeniu.

W 1986 roku Basha Maryanska otrzymała stypendium Fundacji Kościuszkowskiej i przez rok wystawiała swoje prace w Nowym Jorku pracując przy tym nad symboliką Indian Północnej Ameryki. W tym czasie należała do *Polish American Artists Society*, organizacji polskich artystów w Ameryce, której prezesem był wówczas Andrzej Kenda. Członkami towarzystwa byli tacy artyści jak Rafał Olbiński, Andrzej Czeczot czy Christof Zacharow. Szerokim echem odbiła się wówczas wystawa PAAS-u p.t. „VOICES OF FREEDOM" w *Arsenal Gallery* przy Central Park i 5-th Ave. na Manhattanie. Z wystawy nakręcono film, pokazywany w amerykańskiej telewizji, ukazał się też wywiad z Bashą Maryanską w polskiej telewizji w Nowym Jorku. To był kolejny ważny okres w twórczości artystki.



Basha Maryanska, INFINITY, Acrylic on Canvas, 24×18 inches.

Basha Maryanska obecnie mieszka w pięknej okolicy w Beacon, półtorej godziny jazdy na północ od Manhattanu, w górach, nad rzeką Hudson. Założyła tam galerię autorską, która jest również jej pracownią. Artystka wystawia tam zarówno swoje prace, jak i prace innych artystów, z którymi współpracuje. Odbywają się tu też regularne warsztaty malarskie. Od 12-tu lat pracuje również jako kurator w Galerii Szuki Współczesnej na Manhattanie, w dzielnicy sztuki nowoczesnej – Chelsea.

Prace artystki znajdują się w licznych kolekcjach prywatnych i

muzealnych na całym świecie. Wchodzą w skład stałej kolekcji Muzeum Harvarda przy *Harvard University* w Cambridge w stanie Connecticut, w Muzeum Narodowym w Gdańsku, jak również Muzeum Kazimierza Pułaskiego w jego dworku w Warce koło Warszawy.



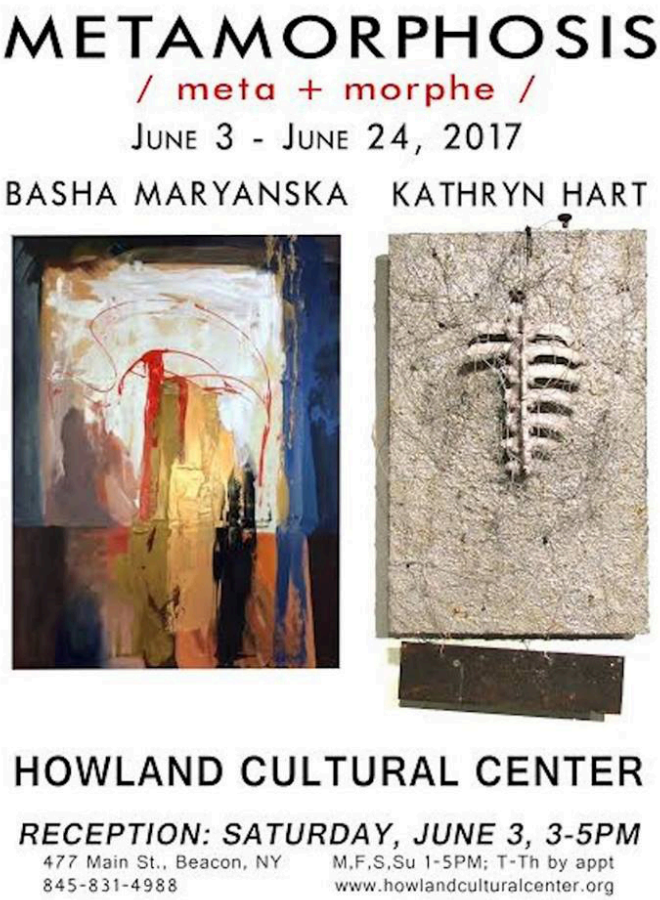
Basha Maryanska, ANGER, 2015, Acrylic on Canvas, 30×40 inches.

W kolekcjach prywatnych prace Bashi Maryanskiej znajdują się **w Polsce:** w Warszawie, Gdańsku i Krakowie, **we Francji:** w Paryżu, Grenoble, Aix-en Provence, Limoges, Montpelier i w

Metzu, **w Niemczech:** w Monachium i w Berlinie, **w Holandii:** w Amsterdamie i Hilversum, **w Szwecji:** w Umeå i w Sztokholmie, **na Litwie:** w Wilnie, **w Czechach:** w Pradze, **w Kanadzie:** w Montrealu i w Toronto, **w Japonii:** w Osace i w Tokyo, **w Meksyku:** w Mexico City, a **w USA** w licznych kolekcjach prywatnych w Dolinie Krzemowej w Kaliforni, Waszyngtonie, Chicago, Bloomington w stanie Indiana, w Bostonie i w Nowym Yorku, gdzie artystka tworzy.

Jako kurator i artysta malarz Basha Maryanska współpracuje z wieloma artystami na całym świecie.

www.bashamaryanska.com



Plakat zapowiadający wystawę w Beacon, NY.

Review featured on the Gallery&Studio Website

Two Artists Turn From Tragedy to Triumph at Howland Cultural Center

"Metamorphosis"—"…a transformation, … change in form from one stage to the next in the life of an organism…" definitions for this word from Webster's that Basha Maryanska and Kathryn Hart aptly chose for the title of their recent dual exhibit at the Howland Cultural Center in Beacon, NY.

Here, both Maryanska and Hart demonstrate their formidable talents in forty-seven works, using their own reactions to repeated personal catastrophes, vanquishing anguished memories through pieces of drama and depth, providing a transforming emotional experience for anyone lucky enough to have had the opportunity to view them.

Close personal friends and creative soul mates, they did not join forces here cynically, but resolved to turn their pain into triumphs of creativity. Hart accomplishes this in her mixed media sculptures, while Maryanska uses her emotions as catalysts for the exuberant colors flowing from "head to heart to arm" in her paintings, turning a harsh life history into poems to a higher power, the artist acting as an amanuensis to the divine soul.



Basha Maryanska, "The World Apart"

Maryanska's triptych, "Memories—It Happened, We Remember, If Walls Could Speak," a dark acrylic documenting the suffering of the Polish people throughout modern history was the first painting on the gallery wall. The artist, from an old historic family, lost everything from the brutalities of World War II and the succeeding years of Communist rule and this piece is her testimony to what happened.

The painting, an anguished telling of this history, has a bleak white feather superimposed on the canvas surface as a symbol of a quill pen, chillingly documenting the brutality. It coolly floats over an angry red gestural brushstroke that seemingly forces its way into a somber field of decimated building shells. These three panels, Maryanska's reporting of atrocities from a psychological distance, is a piece, the artist said, that she brought with her wherever she exhibited, as her way of never forgetting what was endured in her country, the work forcing visceral responses in viewers.

Sculptor Kathryn Hart was originally a watercolorist and transferred her ability to layer on washes to her sculpting technique where she repeatedly builds up strata of materials so that the pieces' surfaces become blistered, wrinkled, and torn, what the sculptor likens to the visible exteriors of "human beings living life." Growing up as the daughter of a surgeon, she is well acquainted with medical life-saving acts that she transferred to her sculptures after watching her father work, interpreting his skills in her own pieces. Arduously building her sculptures by hand, constructing and pulling the elements apart repeatedly, her past immersion in the seriousness of medicine throughout her life and her own experience as a survivor of grave illness, gave her up-close observations of life and death, her sculpture providing her a continuous vehicle to work out her feelings about personal misfortune.

Here, Hart combines disparate found materials as she does in almost all her sculptures, physically deforming them into jarring new entities. Her mixed media assemblage, "Coda," took six months to complete as the sculptor saw it as a resolution over a period of time of her serious personal circumstances, with a newly found positive feeling arising upon completion.

In "Coda," Hart rests a solid steel beam on a built up rectangular base dividing it into two equal parts, a strong foundation and connector of all opposing energies swirling throughout the piece, while a jumble of barbed wires is suspended over it. When light shines on the wires, curvilinear shadows form on the walls at the sculpture's back, dynamically moving the viewer's eye in myriad directions. Wisely anchoring this motion with the solid metal base under the tangled mass, tiny glass bottles are also attached throughout the suspension, causing light refractions when rays hit, evoking a mesmerizing luminosity. She chose the title, "Coda" as a way of saying the long time of emotional darkness was now supplanted by an emerging optimism, tacked on like a musical afterthought, as a counterweight to the sculptor's past struggles helping her to rise from tragic ashes, and so, continue living.

Both painter and sculptor in their need to rise over personal pain, saw this opportunity to exhibit as a statement that life is worth living and the changes a person has to experience throughout are the necessities for survival. In contrast to the somberness of her triptych, Maryanska, in her mixed media collage, "The World Apart," joyously exalts her life, expressing great good fortune at her ability to live in both city and country while Hart joins the celebration in her "Cellular Series" –new assemblages named for the smallest organic entity that in spite of experiencing huge obstacles, miraculously grows into fully realized perfection.



Kathryn Hart, "Cellular No 2"

In "The World Apart," Maryanska combines her impressions of urban New York City and the bucolic Hudson Valley where she maintains residences, integrating the robust energies of skyscrapers soaring to heaven on a vertical axis, with two lushly painted ultramarine horizontal fields at the canvas' top and bottom, shimmering representations of a sapphire river and an intense azure sky at opposite ends, framing the piece.

She balances vertical collaged thrusts with perpendicular paint strokes, the juxtaposition giving the entire piece stability. Supporting this sense of equilibrium, the artist adds black and white jagged pieces of painted canvas, intimations of tall, silhouetted sailboats, bobbing over flowing waters while subtly affixing a blue- green orb near the buildings' apexes, the only rounded object in the piece.

Perhaps this is the painter's way of representing both earth and sun, connecting the organic qualities of the river and sky as if to say a man-made city can only exist if it respects its primordial, natural foundations. Maryanska told me she has to have both city and country in her life to maintain psychic balance. Through the act of creating this piece, the artist is able to join both.

Sculptor Hart pushes the viewer's visual boundaries in a new group of 12 mixed media pieces entitled "Cellular Series," incorporating wire, bone, marble dust and resin in all. The works are built-up, chalk white squares of dense paint layers that the sculptor, almost through an alchemical process, textures and deformes, using heat, chemicals and pressure, to create new entities. In front of the geometrics, she dangles wires and tubes, chaotically jumbled, but at the same time, maintaining a delicacy in their suspension, seeming to float the totally entangled metal threads as one object in the surrounding air. As in "Coda," when light shines on the piece, the spaghetti-like tangles create bold shadows contrasting with the grounds of equilateral shapes, making visual lines resembling abstract gesture drawings, changing the images according to the light's direction. The resulting shadows, sometimes agitated, at other times serene, are the sculptor's impressions of the microcosmic level of the universe, cells, teeming with all type of organic life but always miraculously organizing themselves into cohesive forms. Metaphorically, this series is one of evolution personally symbolic to the sculptor of the triumph of hope, an impetus for survival, no matter the extent of the situation's gravity.

The incorporation of the use of white plays an important part for me in both Maryanska's "Memories" and all of Hart's sculptures in that I can concur with the artists, through their choice of this ghostly color, that the possibility of death is always present throughout life and we must combat it's finality by fully living.

Although Basha Maryanska and Kathryn Hart work in different mediums, they reveal powerful, shared threads, weaving works of deep emotion, bearing witness to their own profound life experiences, the results a working through painful memories as artistic statements of victory. Their needs to create impelled them to realize works as anchors for lives battered by the roiling seas of their pasts. This exhibit was their magnificent opportunity to tell us about what they have suffered and most importantly surmounted.

—Anne Rudder

"Metamorphosis" recently seen at The Howland Cultural Center, Beacon, N. Y.

Recenzja z wystawy w Howland Cultural Center w Beacon, którą napisała Anne Rudder dla Gallery& Studio Art Magazine.

Współpraca z Kathryn Hart

Basha Maryanska zarówno jako artystka wielu technik, jak i kurator wystaw, widzi przestrzeń dla sztuki powstającą poprzez zestawianie prac tworzonych w różnych tworzywach, przez różnych artystów. Dopełniające się wizje dają głębszy efekt i mocniej oddziałują na widza. Tak było w przypadku Kathryn Hart, rzeźbiarki z Colorado, której prace uzupełniają spojrzenie na świat przez Bashę Maryanską. Dlatego obydwie artystki od lat wystawiają swoje prace razem.

> Nasze prace bardzo dobrze kontrastują ze sobą i dopełniają się, będąc jednocześnie stworzone w zupełnie różnych mediach. Ale energia w naszych pracach jest ta sama i to właśnie je łączy.
>
> Rzeźby Kathryn Hart w monochromatycznych barwach, z pełnią niuansów, w szarościach i reliefach, z różnych materiałów, zestawione z moim malarstwem i bogactwem moich kolorów i kompozycji wydobywają całą swoją symbolikę, piękno, harmonię i dramat. Ta wystawa bardzo dużo mówi o nas, jako artystkach.
>
> (Basha Maryanska).

Film o Kathryn Hart:

www.kathryndhart.com

Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.

Współpraca z Kathryn Hart zaowocowała między innymi

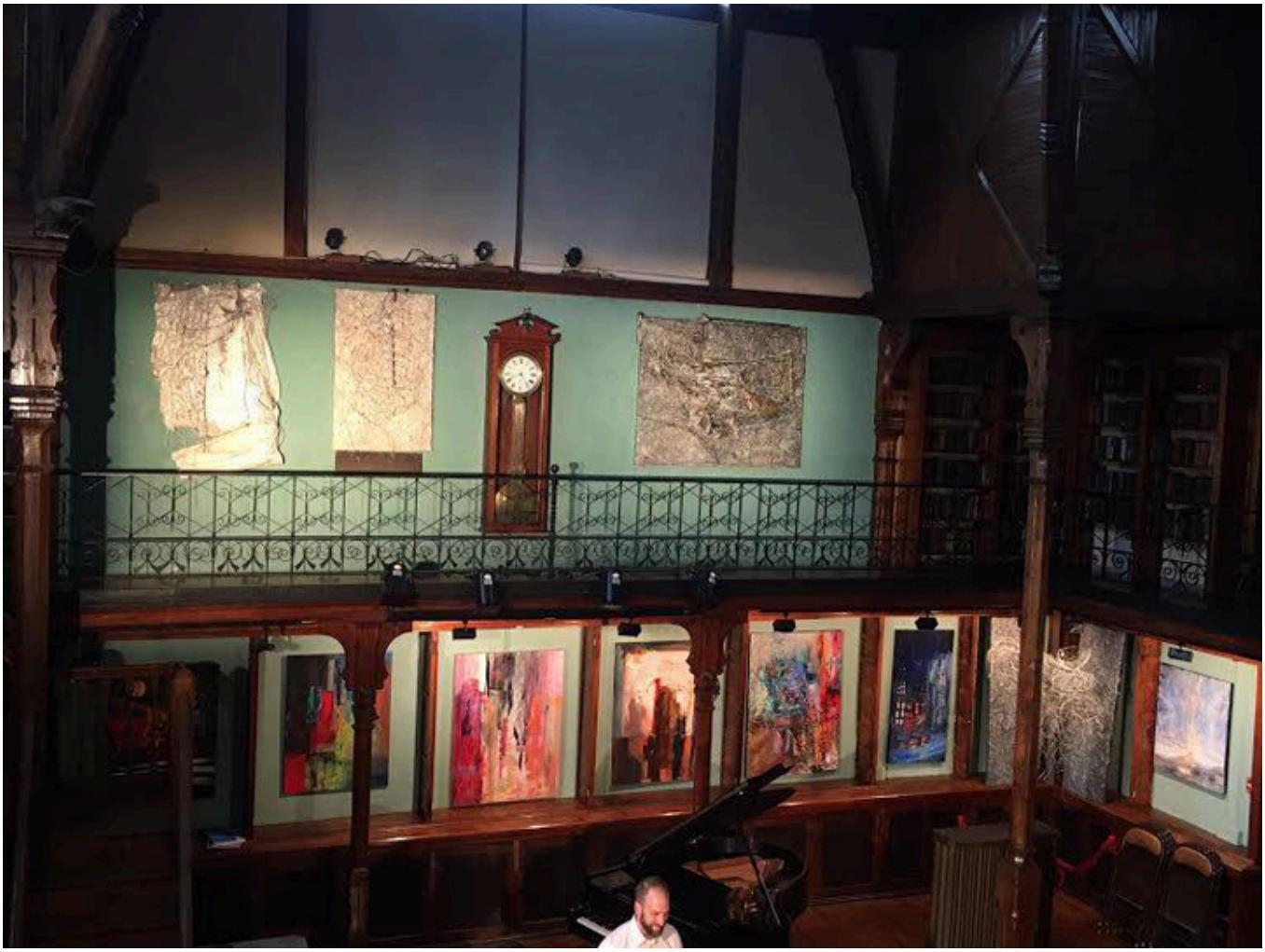
wystawą, która miała miejsce w czerwcu 2017 r. w **Howland Cultural Center w Beacon** w stanie Nowy Jork, w pięknym, historycznym obiekcie, w którym odbywają się koncerty, wystawy i przedstawienia teatralne. Basha Maryanska pokazała ponad trzydzieści swoich najnowszych dużych obrazów. Wystawa połączona była z koncertem jazzowym. Odwiedziło ją bardzo dużo ludzi. Wystawa była wielkim sukcesem.



Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.



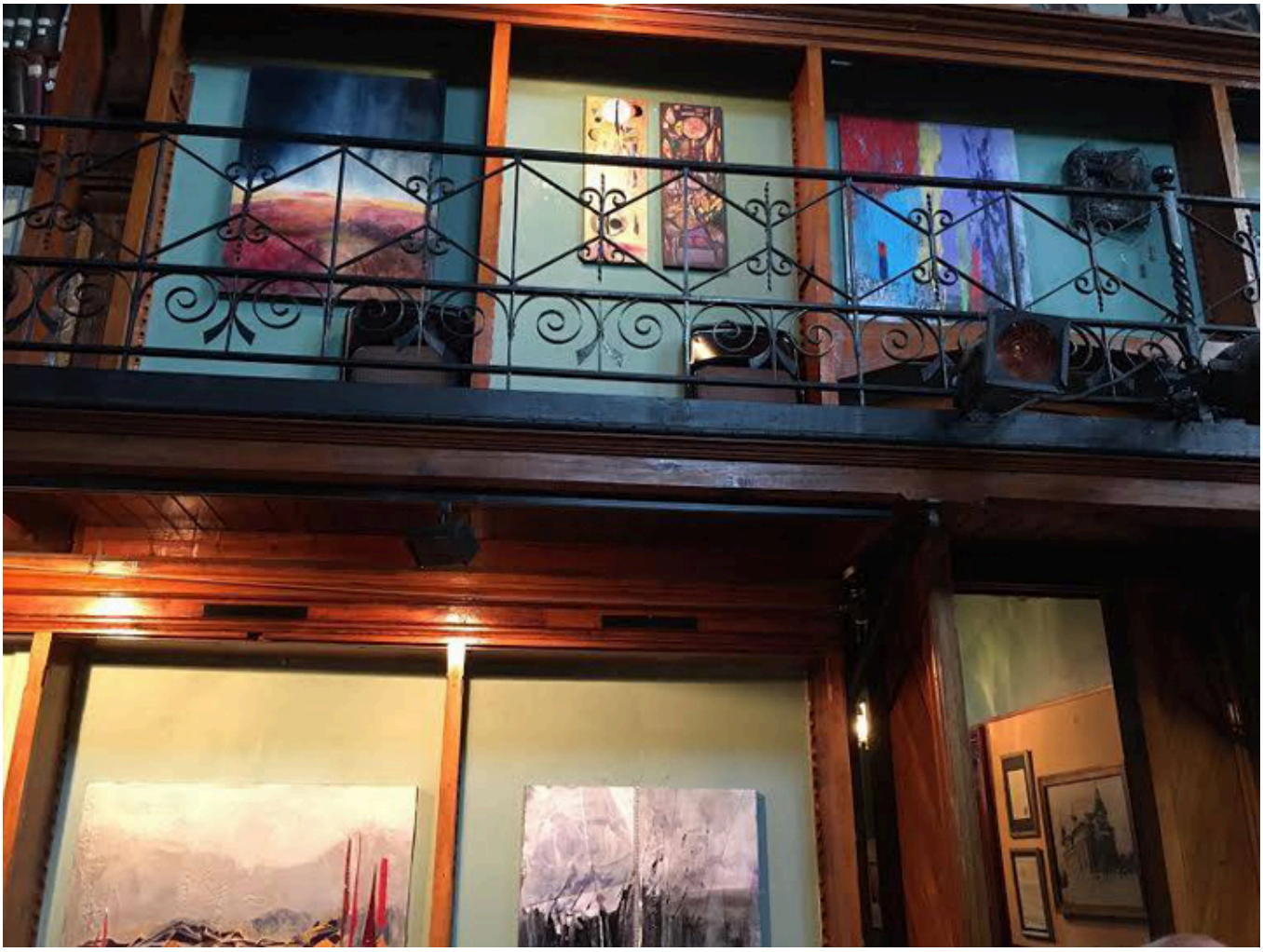
Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.



Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.



Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.



Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.

oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka

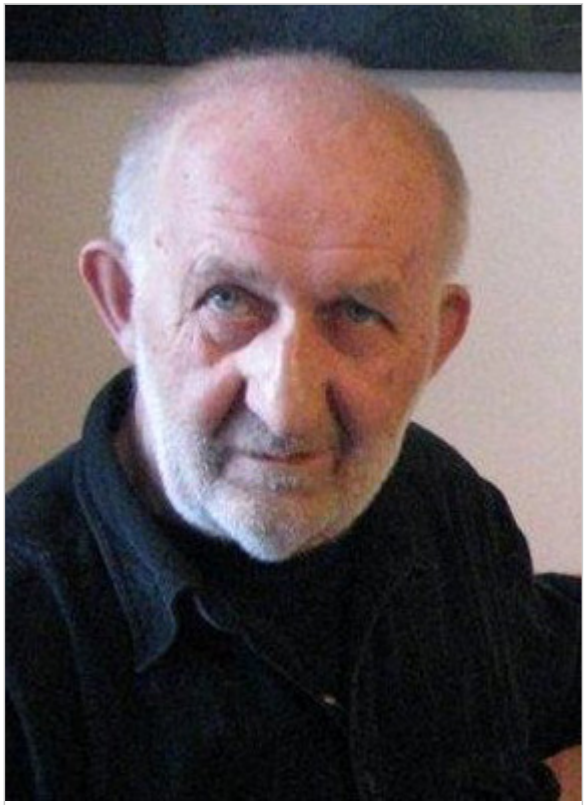
Wystawa „Metamorphosis” z Howland Cultural Center w Beacon, NY, zostanie we wrześniu pokazana w Warszawie, w Galerii SD, Al. Szucha 8. Bedzie ją można zobaczyć w dniach 19-30 września 2017 r. Oficjalne otwarcie wystawy 21 września o godzinie 18.00. Oprócz prac Bashi Maryanskiej i Kathryn Hart, zaprezentowane zotaną też prace Kamili Wojciechowicz. Na temat wystawy w Warszawie więcej informacji ukaże się w środę 13 września 2017 r.

Henryka Wańka język krajobrazu

Korespondencja z Polski

Rozmowa Krystyny Lenkowskiej z pisarzem i malarzem Henrykiem Wańkiem o literackich fascynacjach, sztuce, Zdzisławie Beksińskim i krajobrazach kulturowych Śląska i Podkarpacia.

Krystyna Lenkowska: Jesteś erudytą, „osobowością renesansową”: malarzem, eseistą, prozaikiem, twórcą scenografii teatralnych i filmowych, autorem plakatów. Fascynujesz się, a co najmniej fascynowałeś, kulturą Dalekiego Wschodu, mistyką, ezoteryzmem, okultyzmem, gnozą.



Henryk Waniek

Henryk Waniek: Czy zasługuję na tak miłe słowa? Szczególnie onieśmiela mnie ów „człowiek renesansu”. Jestem przekonany, że każda ludzka istota – ludzka, powtarzam, a nie tylko człekokształtna – potencjalnie jest wszystkim. Coś jednak sprawia, że zalążki geniuszu, które posiada w dzieciństwie, maleją, obumierają, rozpraszają się i w rezultacie, zamiast Arthurem Schopenhauerem, Albertem Einsteinem lub Piotrem Czajkowskim, zostaje jakąś anonimową bidulką. Dlaczego?

Spośród niezliczonych odpowiedzi wybrałbym tę jedną – zabrakło odrobiny szczęścia. Może też odwagi bycia. Na pewno miałem

więcej szczęścia niż odwagi. Ale gdzież mi tam do Czajkowskiego czy Schopenhauera! A tym bardziej do „człowieka renesansu”. Swoją drogą, w wieku XV czy XVI czułbym się chyba lepiej niż w naszej współczesności.

Istotnie, zajmowałem się różnymi rzeczami z mniejszym czy większym powodzeniem. Podejmowałem rozmaite próby. Przed niektórymi się cofałem. Inne kończyły się porażką, lub zniechęceniem. I w konsekwencji jestem, gdzie jestem oraz taki, jaki jestem. Żaden „człowiek renesansu”.

Co zaś dotyczy moich fascynacji ezoteryką, gnozą, i tak dalej, nie może być inaczej, skoro świat i życie to zjawiska z gruntu tajemnicze. Ludzie, którzy nabierają się na racjonalizm, budzą we mnie tkliwe współczucie. Chyba jestem agnostykiem, ale gdyby ktoś mnie przyparł do muru pytaniem, jaką religię mogę zaakceptować, byłby to buddyzm. Tak. Uważam się za buddystę-apostatę, nie widzącego dla siebie miejsca w tych jakże modnych azylach, gdzie śpiewa się sutry i pali kadzidełka.

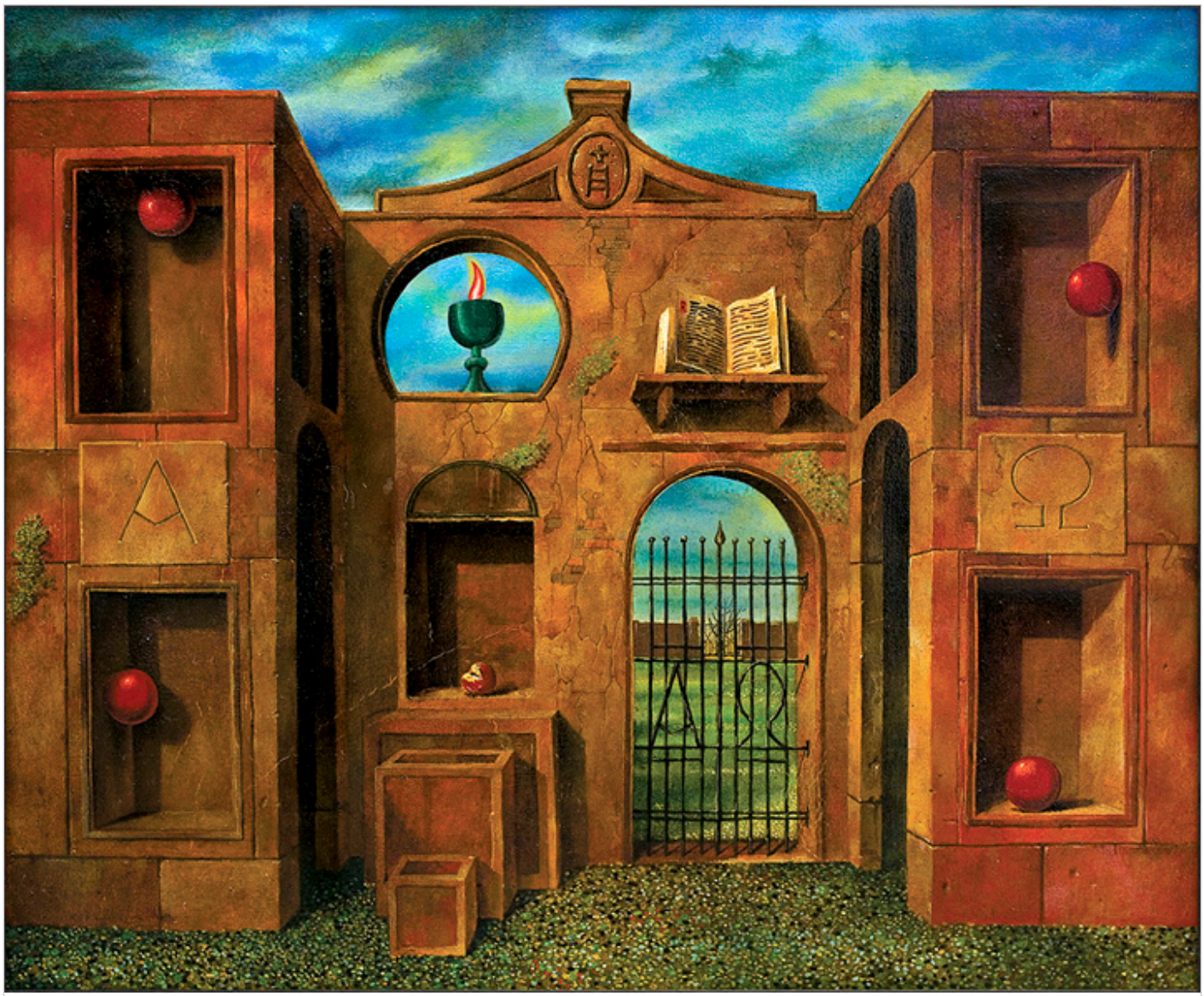
KL: Czy właśnie dzięki dystansowi swojej apostazji mogłeś tak wnikliwie rozpracować w „Sprawie Hermesa” tę tajną inkwizytorską komisję grupy teologów, którzy zmienili XVIII-wieczne Prusy w najbardziej chrześcijańskie państwo świata?

HW: Nie było w tym żadnej wnikliwości. Raczej przypadek, jeśli

ktoś wierzy w przypadki. To się zaczęło od szpargałowatej książeczki, na którą trafiłem we wrocławskim antykwariacie. Jak wiesz, jestem wyczulony na hasło „Hermes”, które się tam pojawiało na prawie 120 stronach. Nabyłem ją i w trakcie lektury okazało się, że po pierwsze, chodzi o innego Hermesa, a po drugie, że dotyczy mało znanej afery na dworze pruskim. Miała ona miejsce akurat wtedy, gdy XVIII-wieczną Polskę rozbierano po raz drugi. Kres tej zuchwałej aferze położyła śmierć króla Fryderyka Wilhelma III. Napisałem o tym esej *Inny Hermes*, który znalazł się w zbiorze pod tym samym tytułem.

Gdy Wydawnictwo Literackie zaproponowało mi wydanie książki, postanowiłem użyć tej historii rozszerzonej o wątki uboczne. Wyszedł z tego obraz teologii pomieszanej z polityką, co jest najbardziej niesmaczną mieszanką. Ale w protestanckich Prusach żaden fundamentalizm religijny na dłuższą metę nie ma szans. Więc aktywność Daniela Hermanna Hermesa była krótka i do historii przeszła jako wstydliwy eksces. Napisałem na poły fantastyczną, trochę żartobliwą opowieść, dziejącą się w zaświatach, gdzie rozpatruje się ziemskie grzeszki bogobojnych spryciarzy. Ale w polskiej, jakże ludowej religijności, zaświaty na modłę pruską są nie do pomyślenia. Zabawne, że z kolei Niemcy, którzy przeczytali tę książkę, uznali, że traktuje ona kpiąco niemieckie symbole i ideały. Ktoś tam w dziale promocji WL-u dopatrzył się nawet aluzyjności do ówczesnych rządów Prawa i Sprawiedliwości, i upstrzył okładkę stosownymi sloganami, ale

było to skojarzenie chybione.



Henryk Waniek, Brama do ogrodu, olej na płótnie.

KL: A swoją drogą, aspekt niemieckości to też twój znak rozpoznawczy. Weźmy choćby twoją pierwszą powieść, też z elementami fantazji pt. „Dziady berlińskie” i ostatnią „Obcy w kraju urodzenia”, w której protagonista jest niemieckim dziennikarzem. Jednak najbardziej znany jesteś jako świetny

malarz i pisarz śląski, „górnik śląskiej kultury”, jak powtarza Magdalena Rabizo-Birek w swoich recenzjach. Czy ta specjalizacja wynika bardziej z lokalnego patriotyzmu czy raczej z chęci, wręcz misji, pokazania światu jak mało znane, lecz arcyciekawe i promieniujące, jest *Śląsko-Silesia-Schlesien*, twoja Ziemia Święta, miejsce na skrzyżowaniu kultur, zwłaszcza polskiej i niemieckiej? Ale też kultury Czechów, Żydów, Łużyczan.

HW: No tak, na gruncie śląskim czuję się lepiej i pewniej. (…) Przesadzę – ale niewiele – jeśli powiem, że od wielu lat jedyną rzeczą, która mnie obchodzi jest właśnie Śląsk. Paradoksalnie, wyrok w tej sprawie zapadł w jakiś czas po tym, jak się stamtąd wyprowadziłem. Było to pewnie potrzebne, by moje widzenie objęło jego całość, z bliska nie tak widoczną. (…) Nieco pretensjonalnie mógłbym powiedzieć, że moją ojczyzną jest prawda. Inną sprawą jest, czy w naszym świecie prawda jest artykułem pierwszej potrzeby. Już nauczyliśmy się oddychać pozorem, fikcją, kłamstwem w żywe oczy. No więc opowiadam ten Śląsk, w różnych wymiarach – współczesnym, historycznym, subiektywnym, społecznym, realnym i baśniowym. Ale w tym prowicjonalnym zapatrzeniu odnajduję sprawy zasadnicze nie tylko dla Śląska.

KL: Jak byś opisał swój prywatny potop, po którym pejzaż nie był ci już potrzebny? Czy słowa, które wypowiada postać

przywodząca na myśl Witkacego w „Finis Silesiae” na temat pożaru, potopu swojego świata krajobrazów jest też twoim zakamuflowanym wyznaniem zwątpienia?

HW: Nie powiedziałbym, że kiedyś stanął mi na drodze większy kataklizm; potop, trzęsienie ziemi czy wewnętrzna ruina. Staram się być – na ile to możliwe – namiętnym czytelnikiem świata, ale tak, by namiętność nie pozbawiała rozsądku. Księga świata jest pisana różnymi językami, z nich najbliższy dla mnie jest język krajobrazu. I w tym sensie nigdy nie przestał mi być potrzebny. Ludzkie losy, tła polityczne, archiwa pamięci rodzinnej czy kolektywnej, to tereny emocji, łatwe do świadomych lub nieświadomych zniekształceń.

Krajobraz natomiast mówi o rzeczywistości i ludziach znacznie więcej, niż oni sami chcieliby o sobie powiedzieć. Wspominasz o tej postaci z powieści *Finis Silesiae*, którą rozpoznajesz jako Witkacego, bo rzeczywiście o nim myślałem, choć go nie nazwałem. Więc i ja, oczywiście, nie jestem optymistą. Jeśli ktoś psuje świat, to najbardziej optymiści. Nie mógłbym tylko powiedzieć, że jestem – jak Witkacy – katastrofistą. Ale bardzo go cenię. Nie za to akurat, czym tak się podniecają habilitowani entuzjaści i wielbiciele jego grymasów. Według mnie wielkość Witkacego tkwi w jego egzystencjalnej tragedii. Był trzeźwym świadkiem nędzy duchowej międzywojennego dwudziestolecia, usiłującym jako terapeuta służyć swemu krajowi. Bezskutecznie.

Niemyte dusze, jego niewątpliwie największe dzieło, traktowano jak jeszcze jeden wybryk skandalisty. Niesłusznie.



Henryk Waniek, Cztery strony świata.

KL: Interesują mnie twoje młodzieńcze początki artystyczne. Jak się zaczął Waniek malarz, pisarz? Czy od grupy Fantazos na ASP w Krakowie? Jaki wpływ miała silna grupa ezoteryczna ONEIRON na twój rozwój jako młodego artysty?

HW: Początki zawsze ukrywają się w mgłach dzieciństwa;

wyłaniają się z jego zabaw i gier, a później toczy się to jakimś zagadkowym duktem. Spotykamy różnych ludzi, coś otrzymujemy, coś ofiarujemy, rozstajemy się, idziemy dalej. Szkoły, towarzyskie sojusze, związki są tylko milowymi słupami na tej drodze. Historia – zresztą niedługa – grupy Fantazos, to temat na długą opowieść, którą trzeba by zacząć w latach 50., w katowickim i bielskim Liceum Plastycznym, którego uczniami byli Michał Józefowicz, Henryk Ziembicki, Barbara Białasik i ja sam. Już wtedy kiełkowały w nas idee, które rozwinęły się podczas studiów w Akademii Sztuk Pięknych Z ideą tej grupy wystąpił Henryk Ziembicki i był jej tak wierny, że gdy wszystko się rozsypało, zmienił nawet swoje nazwisko na Fantazos i jako taki jest artystycznie aktywny gdzieś w USA. Zasadniczo byłem i nadal jestem sceptyczny wobec wszelkich „grup artystycznych", oraz doktryn. Bo ostatecznie warunkiem twórczości jest samotność.

Ale później, w tych szarych i strasznych latach 60., na tym nieludzkim Górnym Śląsku, jakimś cudem doszło do spotkania pięciu osób, których postawy i pragnienia były dość zbieżne: Urszula Broll-Urbanowicz, Antoni Halor, Zygmunt Stuchlik, Andrzej Urbanowicz oraz ja. Stworzyliśmy jedyną w swoim rodzaju, niezależną od oficjalnej polityki kulturalnej, manufakturę idei. Ale nie była to żadna grupa artystyczna i przynajmniej na początku nie mieliśmy zamiaru działać publicznie. Jednym z projektów było kolektywne wykonywanie

tzw. Czarnych Kart i gdy już powstało tych 25 obrazów, pojawił się pomysł by je zademonstrować na wystawach. I dopiero wtedy – początek lat 70. – powołaliśmy *ex post* tę grupę, wraz z nazwą ONEIRON. Zresztą niebawem nasz kolektyw też się rozpadł. Ale wcześniej wokół naszego pięcioosobowego rdzenia gromadził się „drugi krąg" przyjaciół i kibiców – malarze, pisarze i poeci, kompozytorzy, nieokreślonego typu hipisi, krótko mówiąc – ludzie kontrkultury. Moje spotkanie z Andrzejem Urbanowiczem uważam za jeden z tych cudów, które się jednak zdarzają.

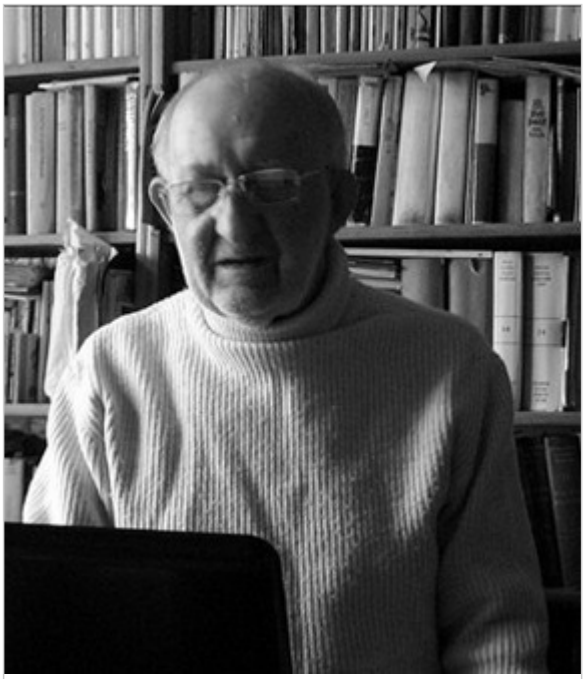


Henryk Waniek, Trzecia forma, olej/płyta, Miejska Galeria Sztuki w Łodzi.

KL: W biograficznej książce o Zdzisławie Beksińskim, autorka Magdalena Grzebałkowska wspomina wiele razy twoją osobę. Jak ty sam możesz odnieść się do swojej relacji z Beksińskim i ewentualnie do faktów z tej książki?

HW: Grzebałkowska przepytała dwadzieścia albo trzydzieści osób, szperała po archiwach, zgłębiała listy Beksińskiego i tak dalej. Napisała solidną książkę, ale moje odczucia są dość mieszane. Byłoby chyba podobnie gdybym brał udział – powiedzmy – w bitwie pod Grunwaldem, a potem przeczytał *Krzyżaków*. A już zdecydowanie odrzucam bardzo podejrzany film *Ostatnia rodzina*. Powiem krótko, żerowanie na medialnej stronie dramatów, jakie się zdarzyły w rodzinie Beksińskich uważam za rzecz niegodną. Moja zażyłość ze Zdzisławem, Zosią, jego żoną i Tomkiem, ich synem, datowała się od roku 1968 i trwała aż do końca, jakkolwiek po śmierci Tomka znacznie ostygła, głównie za sprawą demonicznego dobroczyńcy Zdzisława. Gdy Grzebałkowska skontaktowała się ze mną, za fakt obiecujący uznałem to, że ktoś mnie wyręcza. Bo sam zmagałem się z wewnętrzną potrzebą opisania tego złożonego przypadku. Ale to mnie przerastało, pomijając, że miałem inne zadania. No i przecież Wydawnictwo Znak zwróciło się do Grzebałkowskiej, czego rezultatem jest „prawda” z drugiej ręki, trochę jak z magla. To się u nas nazywa „literatura faktu” i trochę mnie dziwi królowanie jej mitu.

KL: A propos mód i mitów. Doświadczamy ostatnio istnego szaleństwa wokół Davida Hockney'a. Mnie osobiście on też zachwyca, choć nie lubię ani modnych pisarzy ani artystów. Przypadkiem poznałam jego malarstwo mieszkając w Bradford w latach 90. A co ty sądzisz o Hockney'u?



Henryk Waniek

HW: Ja też jestem ostrożny wobec „szlagierów sezonu", ale Hockney to przyzwoity malarz, który nie nabrał się na hura-modernizm. Czasami flirtuje z „nowoczesnością", ale widać, że mu to nie pasuje. Właściwie nie budzi we mnie odrazy takiej jak na przykład amerykańscy spryciarze pop-artu z Warholem na czele. W końcu jednak to tylko sprawa gustu. Czy obrazy

Hockneya otwierają mi na coś oczy? Nie. Mogę popatrzeć, pokiwać głową, pójść dalej.

KL: Z kręgu artystów współczesnych przejdźmy do tematu mistrza. Podobno prof. Zbigniew Kowalewski był twoim mistrzem na akademii. Wspominałeś kiedyś, że podziwiasz śląskiego malarza naiwnego Erwina Sówkę. W twojej prozie powtarzają się takie nazwiska jak Bosch, Rembrandt, Dirk Bouts. Zaś inne niż malarskie dziedziny reprezentują Platon, Pitagoras, Marek Aureliusz, Swedenborg, Jakub Böhme, Blake, Mircea Eliade, Jung, Bachelard, Huxley, Orwell. Proszę o wypowiedź na temat pt. „mój mistrz"?

HW: To bardzo trudne pytanie, bo jeśli „mistrz" ma być synonimem wzoru działania, nauczyciela, którego należy naśladować i ewentualnie prześcignąć, nic mi nie przychodzi do głowy. Tym bardziej, że niektóre z nazwisk, jakie przywołujesz są mi z gruntu obce. Mało mnie obchodzi Orwell czy Blake, Swedenborg czy Rembrandt. Wspomniany Zbigniew Kowalewski, którego szczerze podziwiałem i kochałem, któremu wiele zawdzięczam, nie kwalifikował się na trenera. Był człowiekiem zbyt uczciwym, by zgrywać się na mistrza. A Erwin Sówka to jest przypadek szczególny. On również jest przede wszystkim człowiekiem. Maluje z solidnością chyba podobną do tej, z jaką jako górnik wydobywał węgiel. A w dodatku, to poważny myśliciel. Małgorzata Szejnert na zakończenie swego *Czarnego*

ogrodu cytuje słowa Sówki. Uważam je za najbardziej wartościowe w całej książce. Aż mnie korci, by je tu zacytować, ale kto ciekawy, niech tam zajrzy. Natomiast w tej litanii moich rzeczywistych i rzekomych idoli nie wymieniłaś postaci o wielkim dla mnie znaczeniu, która mogłaby być moim „mistrzem", gdybym się z urodzeniem nie spóźnił o przeszło 100 lat. Więc niech pozostanie bezimienna.



Henryk Waniek, Na niebie.



Henryk Waniek, Na ziemi.

KL: Gdyby nie ta liczba, zgadywałabym, że chodzi o Caspra Davida Friedriecha, malarza okresu romantyzmu, też miłośnika Sudetów. Pewnie ta fascynująca postać pozostanie dziś dla mnie tajemnicą. A czy tajemnicze toposy takie jak Tęcza, Mapa, Liczba 37, Droga, Krajobraz, Postać Hermesa to twoje fascynacje czy już artystyczne „obsesje”?

HW: Liczba jest w całkowitym porządku. Urodziłem się w roku 1942, a C.D. Friedrich umarł w 1840. Nie był aż tak wielkim miłośnikiem Sudetów, jak się wydawało jego miłośnikom w czasach Trzeciej Rzeszy. Jeśli malarstwo, które dzisiaj jest już dyscypliną upadłą, kiedykolwiek się odrodzi, to sztuka Friedricha będzie najlepszym wzorem. Jego pejzaże to są po prostu obrazy czystego *sacrum*, po odrzuceniu całej tej podejrzanej emblematyki religijnej. Co zaś do pozostałych drobiazgów o które pytasz, powiem tylko, że są to tematy dość obszernych

tekstów, które opublikowałem w tych kilku eseistycznych zbiorach, jakie się ukazały. Choćbym stawał na głowie, nie zdołam, ani nie chcę ich streszczać. Odsyłam do lektury. Czy obsesje? Zapewne. Ale też fascynacje. Przedmioty badań. Tematy rozważań. A do tego, punkty orientacyjne w chaosie świata. Drogowskazy.

KL: Czyli jednak Friedrich. Porównywałam Wasze daty urodzin, stąd to zawahanie. Kontynuując temat fascynacji, skoncentrujmy się więc „tylko" na toposie Drogi. Czy głównym powodem porzucenia malarstwa jest twoja fascynacja motywem wędrówki, której więcej przestrzeni oferuje pisarstwo?

HW: Wiesz, to może nieskromnie zabrzmi, ale to co miałem do namalowania, już zrobiłem. I wystarczy. Nie będę się dożywotnio powtarzał, co tak chętnie czynią malarze i „malarze". Oczywiście, sama czynność malowania jest boska. Przepadam za tym i jeśli zdarzy się wolna chwila, już coś rysuję lub maluję. Ale tym nie będę przecież ludziom zawracał głowy. Niech to robią inni, lepsi ode mnie, bo na świecie nie brak malarzy. Są jednak sprawy, których się nie da namalować. Które trzeba napisać. Tyle, że już pisanie nie jest czynnością boską. To czarna harówka, mordęga i cierpienie. Obraz czasami maluje się sam. A tekst sam się nie napisze. Nie muszę ci przecież tłumaczyć.



Henryk Waniek, Odlot XVII.

KL: Czy pisząc łatwiej otworzyć się na tajemnicę istnienia by zbliżyć się do *harmonia mundi*? Przecież twoje malarstwo określa się mianem malarstwa metafizycznego. Mnie ono napawa niepokojem i przeczuciem czegoś co jest za „brzegiem świata widzialnego i przedstawionego”[1]. Czy ten ludzki lęk przed nicością stoi w sprzeczności z poszukiwaniem harmonii?

HW: Ach, te przymiotniki – „metafizyczne”, „magiczne”, „tajemnicze”. Tymczasem sprawa jest w najwyższym stopniu prosta. W ogóle nie interesowało mnie malarstwo, malarskość, forma artystyczna i te wszystkie „duperele”. Mnie interesowało tworzenie obrazów. A nawet nie tworzenie, bo jest to słowo nieznośnie pretensjonalne, więc powiedzmy raczej, że starałem się czynić obrazy widzialnymi. Skutki tych usiłowań były różne; czasem zadowolenie, czasem wstyd. Jeśli były to obrazy harmonii, stawiałem sobie ocenę celującą i zaczynałem od nowa. Harmonia – powiedzmy nawet, że *harmonia mundi* – to wyobrażony ideał, według którego warto sobie organizować życie. Ale to jest zadanie dla nielicznych. Nie dla tych, którzy chcą, mogą, muszą żyć na chybił trafił.

KL: Nie używam przymiotników „magiczny” ani „tajemniczy” wobec Literatury i Sztuki. Co innego przymiotnik „metafizyczny” i rzeczownik „tajemnica”. A propos słów, czy twoje obrazy zawierające inskrypcje, wszelkiego rodzaju semantykę, wątki literackie, były przeczuciem rozmachu twojej ekspresji pisarskiej?

HW: W moim dzieciństwie obraz i słowo stanowiły jedność. Nauczyłem się czytać około czwartego roku życia, bo ciekawiły mnie teksty pod obrazkami komiksu, który zawzięcie badałem. Rysowałem i pisałem równocześnie. Czasem bardziej zajmowało mnie to, czasem tamto. I tak już zostało. Z pismem jednak łączyły

się pewne tajemnice. W bibliotece mojego dziadka był niezwykły leksykon, pełen rycin i barwnych obrazków. Ale niemiecki, drukowany czcionką frakturową. Należało ją czym prędzej poznać. W szkole mieliśmy język rosyjski i jego egzotyczne bukwy. Obce języki i różne pisma – to mnie zawsze poruszało. Niestety, w trakcie edukacji artystycznej usiłowano nam obrzydzać wszelką „literackość" w obrazie. Nic dziwnego, że wyrosły z tego całe generacje artystycznych półgłówków. W moim odczuciu obraz i słowo zawsze stanowiły jedność. Są języki – na przykład grecki, rosyjski czy chiński – gdzie ten sam czasownik określa pisanie i malowanie. Nawiasem mówiąc, jest zjawiskiem nagminnym, że malarze zabierają się za pisanie, a pisarze z kolei za malowanie. Zastanawiający fenomen. Ktoś się powinien z tego doktoryzować.



Henryk Waniek, Podwójność.

KL: Spotykamy się w tym wywiadzie pod pretekstem tematu „dziedzictwo krajobrazu, krajobraz dziedzictwa”. Ty bardzo wcześnie odkryłeś szczególne możliwości ekspresji jakie daje pejzaż, górski pejzaż Sudetów z Górą Ślężą, krajobraz Karkonoszy, Gór Izerskich i Kotliny Kłodzkiej. Czy aby było odwrotnie i to pejzaż śląski, jego *genius loci*, wybrał cię na swojego odkrywcę, idąc nieco prowokacyjnie tropem metafizycznym?

HW: Już wspominałem o moim „zaczytaniu się" w krajobrazach i to nie tylko tych ulubionych i wybranych. Właściwie chodzi raczej o „miejsce", czyli tę część przestrzeni, przez którą człowiek *volens-nolens* określa swą tożsamość, nawet jeśli jest to tylko miejsce wyobrażone, utracone lub porzucone. Miejsce-krajobraz jest immanentną cząstką ludzkiego ducha, a duch, wiadomo – *flat ubi vult*. W moim szwendaniu się po górzystym krajobrazie Sudetów jest wiele eskapizmu, są to wyprawy poza nasz świat trywialny i czas bieżący. Innych kuszą antypody, tak jak mnie kiedyś, dopóki nie zauważyłem, że to wszystko, a nawet więcej, jest tuż-tuż. I jak tu o tym nie pisać?

(…)

KL: Twoja tetralogia eseistyczna: *Hermes w Górach śląskich* (1994), *Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257 – 1957* (1996), *Pitagoras na trawie* (1997), *Inny Hermes* (2001), a także twoja powieść *Finis Silesiae* (2003) oraz obrazy, to wszystko krajobraz Śląska. Naturalny, mentalny, duchowy. Krajobraz tej ziemi i twój własny krajobraz wewnętrzny. Jak się zmienia, jak godzi sprzeczności, malarz i pisarz pod wpływem tropienia zagadek tego pejzażu, jego tajemnic bytu, odkrywania tego, co ukryte?

HW: Znowu mnie chyba przeceniasz. Jestem zaledwie kopistą, żeruję na cudzych doświadczeniach, mieszam je ze swoimi,

odkrywam jedynie rzeczy jawne. Jestem ~~też~~ zapewne trochę nawiedzony i mam na Śląsku swoje miejsca intymne, ale z tego też nie czynię wielkiej tajemnicy. Nadzwyczajność tego krajobrazu jest w pewnej mierze wzmocniona przez moją emfazę. Tak jak ktoś inny może *ad dies vitae* być zakochany w Wilnie czy Stanisławowie. A miłość zaślepiona widzi coś więcej, jak też czegoś innego w ogóle nie widzi. Tyle, że krajobraz (bardziej niż ostatnia historia) Śląska, przy swoim całym zróżnicowaniu, ma na moją percepcję wpływ scalający. Czuję się mentalnie i duchowo zintegrowany wiedząc, że należę do tej przestrzeni, która od 2000 lat, a pewnie dłużej, w prawie niezmienionym kształcie geograficznym trwa, upada i odżywa w paśmie między Odrą a Sudetami.

KL: A co możesz powiedzieć o krajobrazie Rzeszowa, Podkarpacia? Czy, poza Beksińskim, miałeś lub masz ważne związki z tym miejscem? Wizualne, pisarskie, duchowe, towarzyskie?

HW: To chyba w roku 1955 pierwszy raz w życiu spędziłem okrągły miesiąc w Jaśle na obozie artystycznym młodzieży śląskiej. Jasło było bardzo zniszczone, ale Krosno, Glinnik Mariampolski, Jedlicze, Gorlice – wszystko to i inne miejsca, których już nie pamiętam, dokładnie spenetrowaliśmy. Zabawne, ale właśnie wtedy w Jaśle zacząłem myśleć o fachu malarskim. W latach późniejszych doszły Bieszczady z ich tragiczną pustką.

Także Jarosław ze swoim legendarnym Liceum Plastycznym, gdzie miałem wielu kolegów. Nie przeoczyłem też Przemyśla i mogę powiedzieć, że – choć to dla mnie były geograficzne antypody – czułem magnetyzm tych okolic. Z końcem lat 60., gdy zaczęła się nasza komitywa ze Zdzisławem Beksińskim, Sanok stał się miejscem regularnych pielgrzymek. I ostatecznie – choć Beksiński umknął stamtąd, odwrotnie niż jego syn Tomek, który psychicznie nigdy Sanoka nie opuścił – to miejsce pozostaje dla mnie ciągle symbolem o wielkim ciężarze. Czuję to również poprzez sentyment do poezji Janusza Szubera, ale też mnóstwa osób, które Sanokowi wystawiają znakomite świadectwo. Nie muszę dodawać, jak wysoko cenię pisarstwo Mariana Pankowskiego z Sanoka.

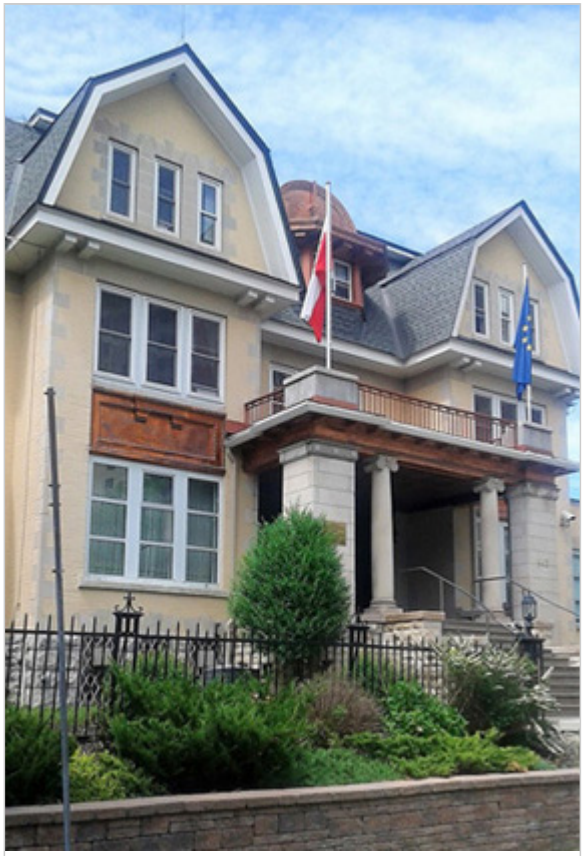
Byłem jedną z dwóch osób, które w sierpniu 1968 odprowadzało do pociągu udającego się na emigrację Kalmana Segala, sanoczanina, który od wczesnych lat powojennych ubarwiał dość mizerne życie literackie Katowic. Nie będzie to czystą kurtuazją, jeśli powiem, że znając ten region dość powierzchownie, wyczuwam pewne jego pokrewieństwo ze Śląskiem już to przez podobny krajobraz, już to przez kulturową i etniczną złożoność. Może szkoda, że archiwum emigracyjnego pisarza ze Śląska, Jana Darowskiego, ostatecznie trafiło do Uniwersytetu Rzeszowskiego a nie do Katowic, ale nie wyobrażam sobie by tą spuścizną zajęli się tam równie czule i troskliwie, jak się to stało w Rzeszowie, cenionym zresztą przez innego Ślązaka, poetę i

tłumacza mieszkającego w Toronto, Floriana Śmieję. W każdym razie już wielokrotnie miałem okazję stwierdzić, że w Rzeszowie czuję się dobrze.

[1] Katalog wystawy: H. Waniek, *Obrazy utracone, obrazy odzyskane.*

Polscy artyści w Ottawie z okazji 150-lecia Kanady

Katarzyna Szrodt



Ambasada Rzeczpospolitej Polskiej w Ottawie.

W związku z obchodami 150-lecia Kanady, ambasada RP w Ottawie zaprosiła polskich malarzy mieszkających w Montrealu, zrzeszonych w Polish Artists Association of Canada (PAAC) i artystów z Ottawy, do wzięcia udziału w wystawie „Poland for Canada with Love. Polish Canadian Artists Exhibition”. Było to jedno z wielu wydarzeń artystyczno-wystawienniczych przygotowanych przez ambasadę RP, ku czci Kanady. Ze strony ambasady organizacją zajęła się Daria Podemska, ja zaś koordynowałam sprawy montrealskie.

13 czerwca w jasnym, przestronnym wnętrzu International Pavilion, oryginalnie łączącym szkło, drewno i cegłę, odbył się wernisaż wystawy, w której wzięło w sumie udział szesnastu artystów malarzy. Z Montrealu byli to: Joanna Abrahamowicz, Jan Delikat, Dorota Dyląg, Joanna Chełkowska, Piotr Królikowski, Janusz Migacz, Mariola Nykiel, Joanna Pienkowski, Anrzej Andre Pijet, Mira Reiss, Jolanta i Zbigniew Sokalscy.

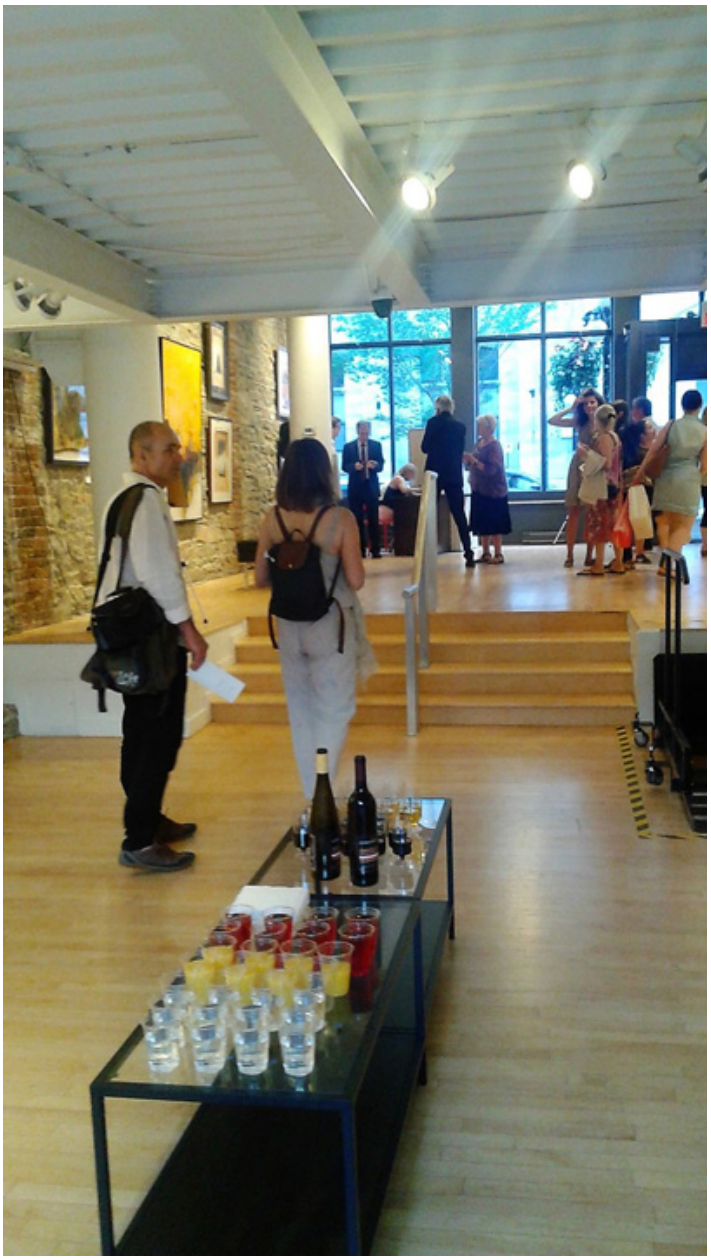
Ze strony mieszkających w Ottawie Polaków zobaczyliśmy prace: Anny Luczak-Romaszewskiej, Wojciecha Kulikowskiego, Antoniego Romaszewskigo, Darii Podemskiej i Dominika Sokolowskiego. Wystawę cechowała różnorodność tematów, gatunków i technik: oleje, akwarele, rysunek, od abstrakcji, przez impresjonistyczny pejzaż miejski, po surrealizm i ekspresjonizm. Artyści na różne sposoby interpretują rzeczywistość, są na nią wrażliwi, dokonują jej syntezy zapraszając odbiorcę do dialogu. Prace nieżyjącego już Antoniego Romaszewskiego to przekaz intelektualny wymagający od widza interpretacji znaków i symboli. Jolanta Sokalska w sposób mistrzowski tworzy swoje szklane obrazy łącząc szkło z metalem, drewnem, tkaniną. Surrealistyczne malarstwo Miry Reiss opowiada zawsze jakieś historie wciągając nas do toczących się na obrazie wydarzeń, podobnie jak twórczość Doroty Dyląg głęboko ekspresjonistyczna i magiczna zarazem. Nad każdym z obrazów należałoby się pochylić i „wsłuchać”.

Najważniejszym wydaje się fakt, że znów polscy artyści tworzący w Kanadzie mieli szansę spotkać się na wystawie zbiorowej, skonfrontować swoje doświadczenia, porozmawiać, przygotować się do następnego wspólnego pokazu. Pod koniec października 2017 roku, w centrum polonijnym w Jolicoeur w Montrealu PAAC planuje dużą wystawę. I teraz to jest najważniejsze.

Galeria zdjęć



The International Pavilion w Ottawie, gdzie miała miejsce wystawa.



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Katarzyna Szrodt (z prawej) przed The International Pavilion w Ottawie, gdzie miała miejsce wystawa, fot, arch. autorki.



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Katarzyna Szrodt podczas otwarcia wystawy pac polskich artystów w Ottawie,

fot. arch. autorki.



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Prace polskich artystów na wystawie w Ottawie, fot. arch. autorki.



Prace polskich artystów na wystawie w Ottawie, fot. arch. autorki.

Ewa Zeller. Obrazy natury.



Ewa Zeller

Ewa Zeller mieszkająca obecnie w Trenton w New Jersey, urodziła się w Polsce. W 1998 r. uzyskała magisterium na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu w zakresie konserwatorstwa i ochrony dóbr kultury. W 2000 r. ukończyła studia podyplomowe na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej w zakresie ochrony

krajobrazu kulturowego, a jej praca dyplomowa została nagrodzona i opublikowana przez Konserwatora Generalnego w Warszawie. W latach 1987-2003 pracowała w państwowych służbach ochrony zabytków w Białymstoku, opracowując katalogi zabytków sztuki województwa białostockiego, wytyczne konserwatorskie oraz opiniując projekty renowacji zabytków.

Od 2003 r. przebywa na stałe w USA, zajmując się malarstwem artystycznym.

Uczyła się malarstwa olejnego u Aleksandry Nowak, Gregory'ego Perkela, Louisa Rosseumano, a także na uczelniach artystycznych: PRATT Institute na Brooklynie, Arts Council of Princeton, School of Visual Arts na Chelsea, Pennsylvania Academy of Fine Art w Filadelfii (PAFA).

Pracuje w oleju, akrylu, pastelu i watercolor. Po raz pierwszy swoje prace pokazała w New Jersey, następnie w Pensylwanii, Connecticut i w Nowym Jorku. Jej prace znajdują się w licznych prywatnych kolekcjach na terenie Stanów Zjednoczonych, a także w Fundacji Jana Pawła II w Rzymie, w Trenton City Museum czy w Princeton Academy of Sacred Heart.



Ewa Zeller, Irysy na stole, olej na papierze.

Indywidualne wystawy:

2006 i 2012 Druch Studio Gallery w Trenton (NJ),

2012 Skulski Art Gallery w Clark (NJ) oraz tamże dwuosobowa wystawa z Magdaleną Zawadzką w 2015 r.,

2009 PII Gallery (Margaret Berczyńskiej) w Filadelfii,

2013 Starbucks na Greenpoincie (NY),

2014 czterech twórców w PII Gallery w Filadelfii,

2014 czterech tworców w Galerii Kurier Plus: Kasia Iwaniec,

Anna Bis, Halina Nawrot, Ewa Zeller,

2014 Mała Polska w Trenton wraz z rzeźbiarzem Jerzym Chojnowskim,

2015 Brooklyn Public Library na Greenpoincie,

2016 Klimat Longue na Manhattanie,

2016 Passeterie Charlotte na Greenpoincie,

2016 wystawa czterech twórców w ramach Polskiego Festiwalu Kultury Polskiej przy parafii Sw. Krzyża na Maspeth w NY: Anna i Antoni Szoska, Wiktor Tur, Ewa Zeller,

2016 Galeria Kurier Plus na Greenpoincie, Festival Dumbo na Brooklynie w Nowym Yorku.

Ponadto uczestniczyła w ponad 100 wystawach grupowych na terenie w/w stanów.

Jej prace przedstawiające kompozycje kwiatowe były częścią scenografii do sztuki “Cheaper by the Dozen” w Newtown Theatre (PA), najstarszym teatrze w Pennsylvanii (kwiecień 2013).



Ewa Zeller, Meadow (Łąka), olej na płótnie, 20×16

Uzyskała liczne nagrody na wystawach konkursowych w wielu renomowanch galeriach, w tym Best in Show w konkursowej wystawie Artists Of Yardley w Yardley (PA) w 2015 r., kilka nagród i wyróżnień w Doyestown (PA) – Polish Heritage Society of Philadelphia, podobnie w konkursowych dorocznych wystawach Mercer County Artists w Mercer County Community College w Trenton, Trenton Museum Society w Ellarslie w Trenton (NJ). Jej prace wystawiała Segal Gallery przy

Uniwersytecie w Montclaire (NJ), Ridgewood Institute of Arts w Ridgewood (NJ), Farnsworth Gallery w Bordentown (NJ), TAWA Trenton Artists Workshop Association (NJ). Uczestniczy stale w wystawach grupowych the Sketch Club w Filadelfii, Artsbridge w New Hope (PA), New Hope Art Leage. W 2017 roku Trenton City Museum poprosiło malarkę o udział w wystawie zbiorowej amerykańskich współczesnych artystów, organizowanej w salach muzeum, zatytułowanej “On this Walls”.

Ewa Zeller maluje w naturalistycznym stylu, opierając się na kolorze i formie jako głównych nośnikach przekazu, dążąc do uzyskania efektu dekoracyjnego, symbolicznego i syntetyzując wybrane idee. Obok scen symbolicznych preferuje portret, sceny kwiatowe, *still life*, pejzaże.

Galeria prac Ewy Zeller



Nasturcje, olej na płótnie



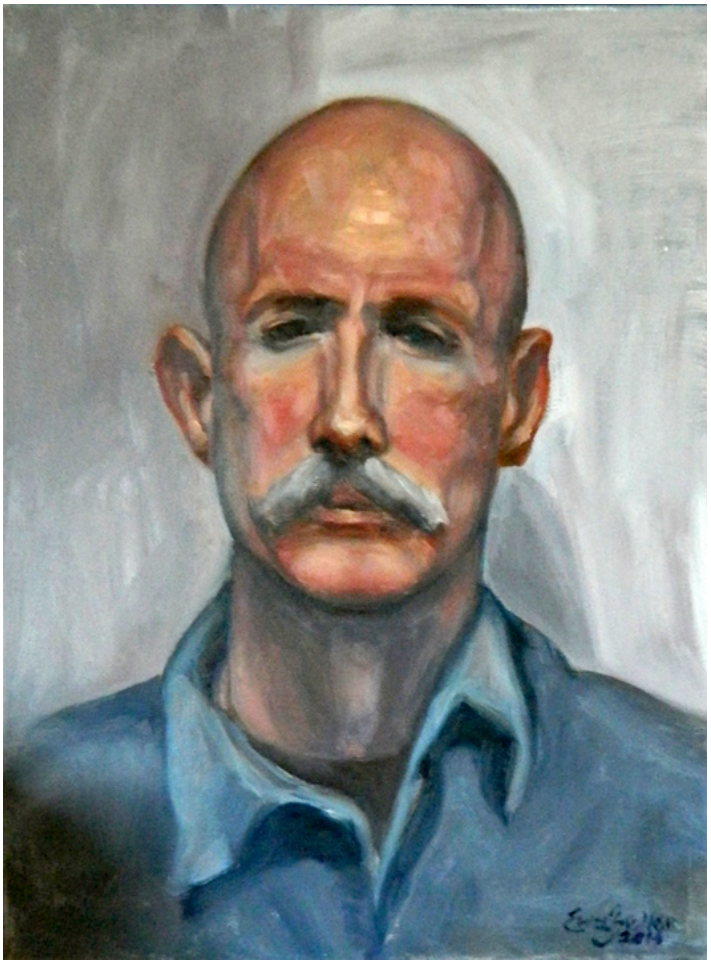
Mystic Mums, olej na płótnie



Jurowce, olej na papierze



Aleksandra, olej na płótnie, 24×18



Model, olej na płótnie, 14×11



Robotnik, olej na płótnie, 14×11



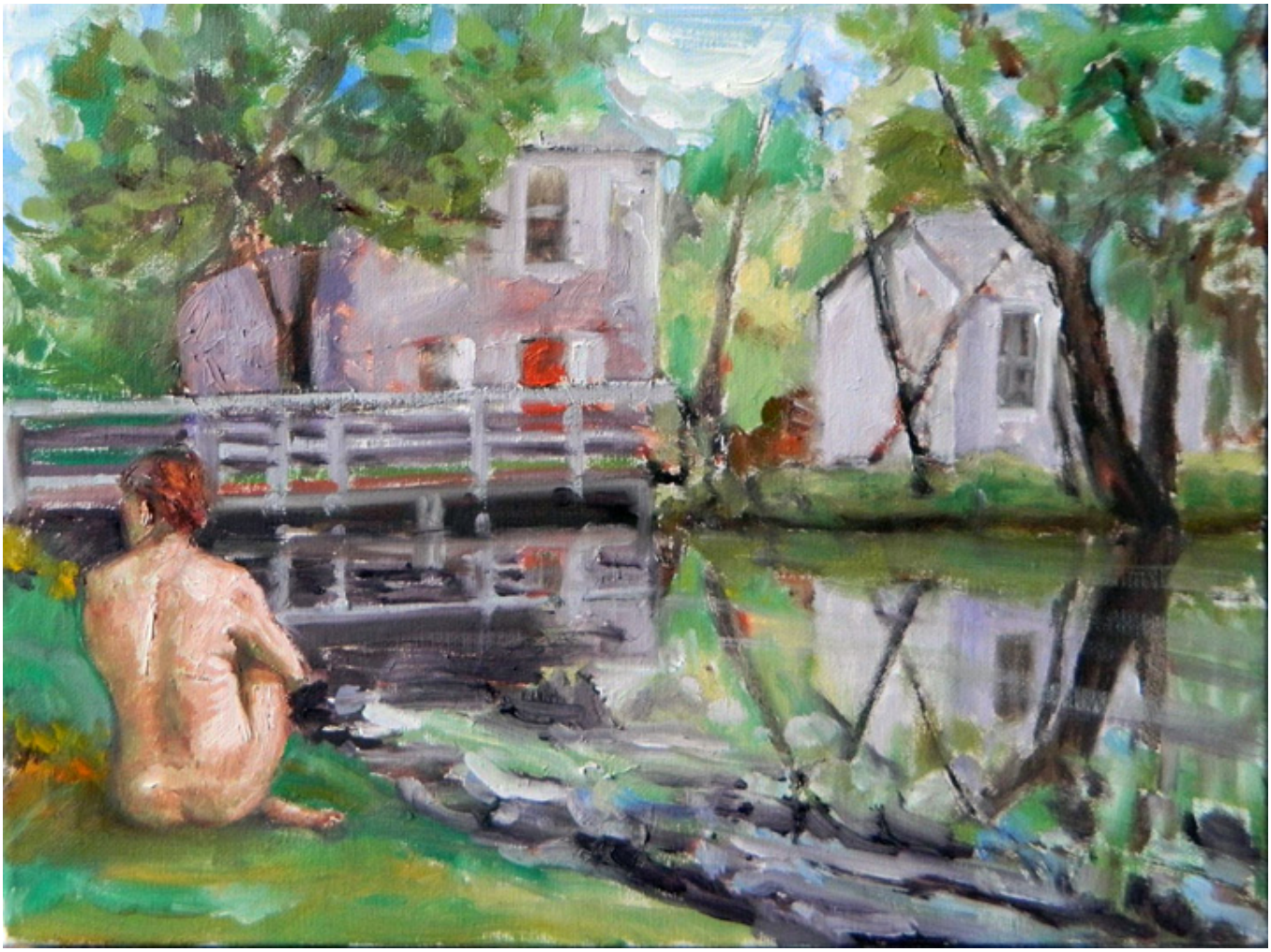
Halina, olej na płótnie



Still Life with copper, olej na płótnie, 11×14



Old Farm, olej na płótnie, 8×10



Nature, olej na płótnie, 9×16

Sztuka – język

bez słów

Rozmowa z Barbarą Maryańską, malarką, kuratorką wystaw.



Barbara Maryańska

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Studiowała Pani w Warszawie, Gdańsku i Paryżu, ma Pani na swoim koncie niezliczoną ilość wystaw indywidualnych i zbiorowych na całym świecie, pani obrazy znajdują się w stałych kolekcjach muzealnych, m.in. Uniwersytetu Harvarda czy Muzeum Narodowego w Gdańsku, a także w prywatnych zbiorach od Ameryki, przez Europę po

Japonię. Czy są miejsca szczególnie pani bliskie pod względem artystycznym?

Barbara Maryańska: Dużo podróżuję, bo taka jest natura mojej pracy, no i oczywiście mam wielką ciekawość świata. Wszystkie moje wrażenia, odczucia i obserwacje przetwarzam na motywy malarskie, nad którymi pracuję po powrocie w moim studiu, przywożąc masę szkiców i zdjęć. Na ogół musi upłynąć trochę czasu, aby takie przetworzenia mogły się narodzić. Wszystko musi niejako „przejść przeze mnie" zanim podejmę się pracy nad nowym płótnem. Są takie miejsca, które mnie inspirują do malarstwa oraz takie, w których moje obrazy są dobrze odbierane. Spotkania z miłośnikami sztuki są dla mnie bardzo ważne. Lubię słuchać, co ludzie mówią o moich obrazach, jak je odczuwają. Uwielbiam odwiedzać piękne miejsca na świecie i spotykać ciekawych ludzi. Lubię Sedonę w Arizonie za jej niepowtarzalne czerwone skały, Jaipur w Indiach za jego miedziany koloryt pięknej architektury, kocham Sarasotę na Florydzie za jej szmaragdową Zatokę Meksykańską i cudowny zapach kwiatów, Hudson Valley za piękne góry i rzekę, które są ze sobą nierozerwalnie połączone. Kocham Kraków i jego atmosferę, zmuszającą wręcz do bycia artystą, kocham też odwiedzać moją Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie i w Gdańsku i cieszyć się energią twórczą młodych ludzi. Jestem zauroczona pięknem Strasburga, gdzie miałam w zeszłym roku wystawę indywidualną w Galerii Rady Zjednoczonej Europy, i

jego wspaniałą katedrą inspirującą do głębokich rozmyślań.

JSG: Czego poszukuje pani w sztuce i co chce pani przez nią wyrazić?

BM: Moim głównym przekazem jest potrzeba ochrony piękna. Piękna przyrody, uczuć, piękna ludzi i miejsc. Spokój jest piękny. Ciągle go pragniemy. Moje malarstwo dostarcza więc spokoju, którego ludzie poszukują. Moim przekazem jest również medytacja. W medytacji można odnaleźć równowagę i zadowolenie. Unikam niepokoju i dramatu, którego życie dostarcza nam w nadmiarze. Maluję swój świat, który stwarzam w życiu i w sztuce.

JSG: Czym dla pani jest rola kuratorki wystaw?

BM: Ta praca daje mi nieodpartą radość i satysfakcję z promowania dobrej – według mnie – i ciekawej sztuki, na którą chciałabym, żeby ludzie zwrócili uwagę. Lubię odkrywać nowe talenty, lubię konfrontować sztukę artystów z różnych środowisk twórczych i kultur. Wystawa to jest oddzielna, nowa kompozycja złożona z wielu dzieł sztuki. Ciekawe są dla mnie zestawienia różnych mediów i stylów. Sztuka żyje tylko wtedy, kiedy się ją ogląda. Jeśli np. jakiś zdolny malarz trzyma swoje obrazy za szafą, to one nie żyją, nie istnieją, bo nikt ich nie widzi.

JSG: Jaka jest specyfika środowiska artystycznego w Nowym Jorku?

BM: Są to bardzo różne środowiska. Wielokulturowość rodzi wielowymiarowość i wielorakość. Dlatego stwarzam możliwość spotkań różnych kultur z różnych krajów m.in. w galerii New Century Artists Gallery w Nowm Jorku.

JSG: Dlaczego wraz z mężem, poetą Markiem Bieńkowskim zdecydowali się państwo na emigrację?

BM: Jesteśmy emigracją stanu wojennego w Polsce. Wybraliśmy Nowy Jork i Nowy Jork wybrał nas. Ja otrzymałam stypendium Fundacji Kościuszkowskiej zaraz po przyjeździe i tak już zostało… Przez długie lata mieszkaliśmy w Nowym Jorku, ale prawdziwą inspiracją dla moich obrazów stała się dopiero Hudson Valley. Tutaj też znalazłam swoje miejsce w kontynuacji malarstwa Hudson River School of Art w czysto osobistej i współczesnej formie, którą nazywam krajobrazem abstrakcyjnym.

JSG: Jakie w USA były początki pani pracy w zawodzie?

BM: Na początku współpracowałam z nieżyjącą już, znaną artystką Michelle Lester, która miała studio na 17 St. przy Union Square. Związałam się też wtedy z grupą Polish American Artists

Society i wystawiałam z tą grupą w Nowym Jorku i na Long Island. Współpracowałam także z kilkoma galeriami na East Village. W tym czasie wychowywaliśmy syna, który dziś jest inżynierem programistą w Silicon Valley. Wystawiałam i organizowałam wystawy w Tivoli, NY, Catskill, Hudson, Athens i Albany, NY. W Beacon, NY zorganizowałam międzynarodową i ogólnoamerykańską wystawę sztuki kobiet „The World of Artists" w Howland Cultural Center. Od kilku lat coraz więcej energii poświęcam na organizowanie wystaw w Nowym Jorku.

Więcej informacji o artystce: www.bashamaryanska.com